

PIEŚŃ ALASKI

*Preludium
brzasku*



TRACIE
PETERSON

PRZEKŁAD
MARIA ZAWADZKA

WYDAWNICTWO WAM
KRAKÓW 2012

Tytuł oryginału
Dawn's Prelude

Copyright © 2009 by Tracie Peterson
Originally published in English under the title
Dawn's Prelude
by Bethany Housel,
a division of Baker Publishing Group,
Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.
All rights reserved

© Wydawnictwo WAM, 2012

Redakcja
Maria Szumska

Korekta
Dariusz Godoś

Projekt okładki wg oryginału
przygotował do druku
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-7767-047-7

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Podziękowania

Billowi i Carole Denkingeerm,
właścicielom Alaska Ocean View B&B w Sitce,
jestem niezwykle wdzięczna za okazaną mi gościnność
i życzliwość.

Bobowi Medingerowi, dyrektorowi Sitka
Historical Society and Museum,
dziękuję za cenne sugestie
i udostępnienie historycznych zbiorów,
które pozwoliły mi lepiej zrozumieć Sitkę.
Dziękuję też za odpowiedzi na moje niezliczone pytania.

Zespołowi Sheldon Jackson Museum w Sitce pragnę
podziękować za całą udzieloną mi pomoc.

Rozdział 1



KANSAS CITY, MISSOURI

Początek kwietnia 1870 roku

Nie zamierzam pozwolić Lydii odziedziczyć choćby grosza z pieniędzy ojca – oznajmił Mitchell Gray. – Ona nie ma z nami nic wspólnego. Jest obcą osobą, siłą wprowadzoną do tej rodziny po śmierci naszej matki. Nic jej się nie należy.

– Ciszej – poprosiła jego młodsza siostra Evie. – Przecież ona siedzi w pokoju obok.

Lydia Gray cicho kołysała się w fotelu bujanym w salonie, w którym jeszcze kilka godzin wcześniej wystawiona była trumna z ciałem jej męża. Starła się zrobić wszystko, żeby nienawiść jego dorosłych dzieci nie zdołała jej dotknąć, ale jednocześnie miała nadzieję, że dzięki temu odsunie od siebie lęki i obawy, ku którym nieuchronnie zmierzałyby w przeciwnym razie jej myśli. Dzieci nie ukrywały, że jej nie znoszą, od chwili gdy wkroczyła do ich domu. Wyjątkiem była jedynie Evie. Ale czy mogła mieć do nich żal? Sama przekreśliłaby niemal wszystko, co wydarzyło się podczas dwunastu lat jej małżeństwa z Floydem Grayem. I nic nie mogło już zmienić nastawienia jego potomków.

Kołysała się dalej.

„Mam tylko dwadzieścia osiem lat” – myślała. Dwadzieścia osiem lat, a prawie połowę dotychczasowego życia

spędziła w pełnym przemocy małżeństwie z człowiekiem, który swoje konie traktował lepiej niż żonę. *Drugą* żonę.

Lydia zerknęła na portret matki jego dzieci. Obraz olejny został przez Charlotte Gray zamówiony jako prezent bożonarodzeniowy dla męża w 1858 roku. Wręczywszy mu go rano, Charlotte szybko przeprosiła rodzinę, oddaliła się od stołu i popełniła samobójstwo, skacząc z tarasu, który znajdował się na dachu ich rezydencji. Miała trzydzieści siedem lat i zostawiła dwóch dorosłych synów, dwunastoletnią córkę Jeannette i czteroletnią Evie.

Pełne smutku spojrzenie jasnowłosej Charlotte patrzyło na nią ze ściany. Wyraz twarzy tej samotnej kobiety prześladował Lydię, odkąd po raz pierwszy weszła do tego domu – wyrażał ból, który sama doskonale знаła i rozumiała. Wydawało jej się wręcz, że łączyła je jakaś dziwna więź spajająca świat żywych i umarłych. Wiele razy przychodziła do tego pomieszczenia tylko po to, żeby kołysać się w fotelu i wpatrywać w obraz.

– Testament może od razu zostać odczytany, a kiedy już poznamy jego treść – powiedział Marston, bliźniak Mitchella – pozbędziemy się Lydii. Nie wyobrażam sobie, żeby ojciec mógł jej cokolwiek zostawić. Uważam, że powinna dostać czas do końca miesiąca, żeby załatwić swoje sprawy i odejść. Zresztą nie będzie miała wielu rzeczy na głowie. Ojciec nigdy nie zapisałby jej niczego. Wszystko należało do matki. Biżuteria, meble... służba też przecież tu zostanie.

– Więc po co czekać do końca miesiąca? – zapytała Jeannette Gray-Stone. Siostra Marstona i Mitchella bardzo źle zniosła drugie małżeństwo ojca. Nie dlatego, że aż tak tęskniła za matką, ale nie mogła się pogodzić z tym, że macocha odebrała przynależną jej pozycję pani domu – tym bardziej że była tylko kilka lat starsza od samej Jeannette.

Lydia słuchała, jak kłócili się o to, ile czasu powinni jej dać na zniknięcie z ich życia. Ustalili już, że nie może dostać niczego, co należało do ich ojca. Żadnej nagrody za przetrwanie dwunastu trudnych lat małżeństwa z człowiekiem tak okrutnym i bezwzględny. Żadnego współczucia za wszystko, co przeszła.

Znowu podniosła wzrok. Wyraz twarzy Charlotte był pełen zrozumienia – niemal kojący. Kobieta z obrazu wydawała się milcząco sugerować, że tylko śmierć mogłaby przynieść Lydii ulgę.

Lydia kotłowała się więc dalej.

Na pokrytej kwiatami tapecie tańczyły cienie. Rozproszone światło wczesnego wieczoru sprawiało, że przypominały zjawy. Być może Floyd Gray powrócił, żeby dalej ją dręczyć. To by było do niego podobne.

– Niecały miesiąc to okres zdecydowanie za krótki, poza tym nie możemy zapominać, że jej ojciec zginął w tym samym wypadku powozu co nasz – Evie zwróciła się do rodzeństwa. – Nie chcecie chyba, żeby w towarzystwie zaczęto mówić, że zachowaliśmy się bezdusznie.

– Nigdy nie kochała ojca i na pewno go teraz nie oplakuje – oznajmił Mitchell.

– Ale co z jej własnym ojcem? – zapytała Evie. – Przecież jego też straciła.

Marston szybko zaproponował.

– Nigdy nie byli sobie bliscy.

– To prawda – zgodziła się Jeannette. – A poza tym unieszczęśliwiała ojca. Powtarzał mi to wielokrotnie. Pozostawała chłodna i obojętna na jego potrzeby.

Lydia zmarszczyła brwi, po czym skrzyżowała dłonie i westchnęła. Robiła co tylko było w jej mocy, żeby stać się dla Floyda idealną żoną, mimo że poślubiła go wbrew woli w wieku zaledwie szesnastu lat. Wszystko to wymyślił jej

ojciec, dla którego zaręczyny córki były zwykłym biznesowym kontraktem. Matkę Lydii przerażało to, że jej jedyne dziecko zostało wydane za mężczyznę, który pozostawał wdowcem jedynie przez dwa krótkie miesiące. Zmarła następnej zimy w wyniku zapalenia płuc, które osłabiło jej serce.

- Może powinniśmy wstrzymać się z decyzjami do czasu odczytania testamentu ojca, które ma nastąpić w poniedziałek - zasugerowała Evie.

Lydia nie wiedziała, dlaczego ta młoda kobieta w ogóle zawraca sobie tym wszystkim głowę. Siedemnastoletnia Genevieve Gray-Gadston została wydana za mąż zaledwie sześć tygodni wcześniej. Jej starsze rodzeństwo nie zwracało na to jednak uwagi - w ich oczach była nadal dzieckiem i miała nim pozostać na zawsze. Sugestiom Evie nie poświęcano zbyt wiele uwagi.

- Myślę, że dodatkowo dzień czy dwa nie mają wielkiego znaczenia - odpowiedziała Jeannette.

- Niech tak będzie - oznajmił Mitchell. Słyszając to, Lydia nie mogła się nadziwić. - Odłożymy tę decyzję, ale kiedy tylko zostanie odczytany testament, przedstawimy nasze żądania w obecności adwokata.

Ustalili to wszystko przyciszonym głosem, a kiedy zapadły ostateczne decyzje, razem wkroczyli do salonu, żeby przedstawić swoje ustalenia Lydii. Nie podniosła nawet głowy, by na nich spojrzeć. Ta rodzina jej nie chciała i nie kochała, ale ona wiedziała, że już niedługo się od niej uwolni.

- Zdecydowaliśmy - oznajmił Mitchell, przedstawiając ich wspólne stanowisko - że zostaniesz tutaj aż do odczytania testamentu. W poniedziałek mamy się spotkać z adwokatem.

Lydia strzepnęła swoją czarną suknię.

- Doskonale.

- Wydaje nam się jednak – dodała Jeannette – że służące powinny już teraz zacząć pakować twoje ubrania. Tak byłoby rozsądniej.

- Wszystkie z wyjątkiem futer – przerwał Mitchell. – Te zostaną tutaj i dostaną je nasze siostry i żony. Były zdecydowanie zbyt kosztowne i jestem pewien, że ojciec nigdy by nie chciał, żeby opuściły ten dom.

Lydia nadal kołysała się w fotelu i nie patrzyła im w oczy.

- Doskonale.

- Chcielibyśmy też jak najszybciej się dowiedzieć – zaznaczył Marston – jakie masz plany i dokąd zamierzasz się przenieść. Nie warto z tym czekać do ostatniej chwili.

W ten sposób dawał jej do zrozumienia, że nie pozwoli jej zostać w rezydencji ani chwili dłużej. Nikt z rodzeństwa nigdy nie miał trudności z wydawaniem poleceń czy przekazywaniem niepomysłnych wieści. Z jakiegoś jednak powodu Mitchell i Marston wydawali się skrępowani myślą, że mogliby po prostu nakazać Lydii, aby opuściła ich dom. Któż by ich zrozumiał? Być może martwili się, co zaczniesz mówić na ten temat w Kansas City? Mogli się też obawiać, że cała sprawa trafi do gazet i dziennikarze zaczną opisywać ten skandaliczny przypadek.

- Powinam już wracać do domu – oznajmiła w końcu Jeannette. – Muszę się zobaczyć z dziećmi, zanim niania położy je do łóżka. – Opuściła pokój w milczeniu.

- Chodź, Marston, podrzucę cię – powiedział Mitchell. – Zastanowimy się, w jaki sposób najlepiej podzielić interes.

Tylko Evie została w salonie. Męskie głosy rozbrzmiewały echem, dopóki bracia nie wyszli z domu. Kiedy Lydia podniosła wreszcie głowę, zobaczyła, że młodsza siostra Grayów się jej przygląda.

- Ja też powinnam już iść. Thomas wysłał po mnie powóz już jakiś czas temu. Będzie się zastanawiał, dlaczego jeszcze nie wróciłam.

- Rozumiem - powiedziała Lydia. Dopiero teraz przestała się kołysać.

Wydawało się, że Evie nie ma jeszcze ochoty iść. Dziewczyna ruszyła w stronę drzwi, ale po chwili się odwróciła.

- Co zrobisz? - zapytała.

Lydia wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie zdążyłam jeszcze się nad tym zastanowić. Dalej do mnie nie dociera, że doszło do tego wypadku.

- Trudno uwierzyć, że już go nie ma - przyznała Evie.

Wszystkie dzieci Floydą doświadczyły jego surowości i twardej ręki. Niewątpliwie Evie nie stanowiła tu wyjątku. Lydia wiele razy bezradnie przyglądała się temu, jak Floyd karał najmłodszą córkę za najdrobniejsze choćby naruszenie wyznaczonych przez niego zasad.

Wstając z fotela, Lydia głęboko odetchnęła.

- Ale to prawda. Już go nie ma i nie może nas więcej skrzywdzić.

Evie mocniej zmarszczyła brwi, jakby nie mogła w to uwierzyć. Mimo to nie próbowała korygować jej słów.

- Żegnaj, Lydio. Rozumiem, że zobaczymy się w poniedziałek.



- Zdaję sobie sprawę, że jest zbyt wcześnie na niepokojenie pani takimi sprawami - oznajmił Dwight Robinson, witając się z Lydią w sobotni poranek - ale musiałem się z panią spotkać jeszcze przed odczytaniem testamentu.

Kobieta spojrzała na prawnika swojego ojca, a następnie na list, który jej podał.

- Dobrze, proszę wejść.

Za oknem dało się słyszeć uderzenie pioruna i zaczął padać rześisty deszcz. Kamerdyner zabezpieczył drzwi przed wiatrem. Lydia zaprowadziła swojego gościa do mniejszego, nie tak oficjalnego saloniku. Ledwo powstrzymała się od ziewnięcia. Przez całą noc przewracała się z boku na bok, nasłuchując kroków Floyda na korytarzu. Dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie, że nie żyje i już jej nie skrzywdzi. Ostatecznie zdołała zasnąć około czwartej nad ranem, a musiała wstać jakieś cztery godziny później.

- Proszę usiąść. Czy mam zadzwonić po napoje? - zapytała Lydia. - Jest tu dość chłodno. Może ma pan ochotę na kawę?

- Nie, dziękuję. - Uśmiechnął się do niej współczująco. - Wyobrażam sobie, że to wszystko musi być dla pani bardzo trudne.

Lydia wzruszyła ramionami.

- Nie bardziej niż inne sprawy. - Usiadła na jedwabnej sofie, a pan Robinson zajął miejsce na bogato zdobionym krześle w barokowym stylu. Był to jeden z ulubionych mebli Floyda Graya.

Robinson raz jeszcze podał jej list i tym razem Lydia go przyjęła.

- Co to jest? - zapytała, rozkładając złożone kartki, które trzymała w ręku.

- To od pani ojca. Zostawił mi ten list kilka miesięcy temu, prosząc, żebym go pani przekazał, gdyby cokolwiek mu się stało.

Lydia zmarszczyła brwi. Odkąd zmusił ją do zamążpójścia, ojciec zamienił z nią ledwo kilka słów. Usiłowała sobie wyobrazić, co takiego mógłby chcieć jej teraz powiedzieć.

- Wydaje mi się, że te słowa... cóż, przyniosą pani pewną ulgę - powiedział Robinson, przeczesując gęste wąsy. Kor-

pulentny starszy człowiek przyglądał się jej przez chwilę, po czym dodał: – Prosił mnie wcześniej, żebym przeczytał list.

– I jaka jest jego treść?

– Może go pani po prostu przeczyta, wtedy będziemy mogli omówić wszelkie pytania, które się pojawią. Nie jest zbyt długi.

Lydia chciała to zrobić później, w zaciszu swojego alkierza, ale kiedy zorientowała się, że Robinson nie zamierza wyjść, dopóki nie wymienią uwag, skinęła głową. Rozłożyła kartki i głęboko westchnęła na widok zamaszystego pisma ojca.

Najdroższa Cóрко,

przez długi czas moje serce dręczył ciężar błędów, które popełniłem. Przysporzyłem Ci wielu nieszczęść, zmuszając Cię, wyłącznie w imię bezpieczeństwa finansowego, do małżeństwa z mężczyzną, który – co sam wiedziałem – łatwo wpadał w gniew i był surowy.

Modlę się o to, byś zdołała mi wybaczyć. Tak wiele razy marzyłem, że przedstawię Ci przyczyny swojego postępowania, ale w głębi serca wiedziałem, że nie ma wytłumaczenia dla tego, co zrobiłem. Byłem chciwy i za jedyny cel stawiałem sobie zbudowanie wielkiej fortuny. Nie brałem pod uwagę tego, że osiągnąłem to kosztem ludzi, których kochałem. Wierzyłem, że z czasem moje wybory spotkają się nie tylko ze zrozumieniem, ale i z aplauzem. Teraz jednak rozumiem, że się myliłem i że byłem wobec Ciebie bardzo niesprawiedliwy.

Jeżeli czytasz te słowa, oznacza to, że odszedłem już z tego świata. Zostawiam Ci ten list w dwóch celach. Po pierwsze, zapisy zawarte w moim testamencie są skomplikowane i nigdy nie chciałem, żeby przysporzyły Ci zmartwień, choć tak się zapewne stanie.

Po drugie, powierzyłem panu Robinsonowi pieczę nad pieniędzmi, o których nikt inny nie wie. Te pieniądze przeznaczone są dla

Ciebie. Owa suma powinna się okazać wystarczająca, żebyś mogła wziąć rozwód albo zdecydować się na inne kroki, których będziesz pragnęła.

W dalszej części listu powracała prośba o przebaczenie, ale Lydia była tak zaskoczona, że nie miała siły czytać dalej. Spojrzała na prawnika z niedowierzaniem i pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- Pani ojciec chciał dać pani możliwość przerwania tego małżeństwa. Wielokrotnie mi o tym mówił. Mieliśmy świadomość, że niezwykle trudno będzie pani uzyskać rozwód. Teraz jednak nie stanowi to już problemu.

W milczeniu złożyła kartki.

- Pewnie powinnam się cieszyć, że w końcu zrozumiał swój błąd. - Wydawało się, że to zbyt mało, zbyt późno, ale jednocześnie Lydia nie chciała sprawiać wrażenia równie bezdusznej co jej zmarły mąż.

Siedzący koło niej starszy, zwalisty mężczyzna przesuwał się na krześle.

- Pani ojciec głęboko żałował decyzji o wydaniu pani za Graya. Miał nadzieję, że da się zrobić coś - cokolwiek - żeby naprawić ten błąd. Oczywiście zdaje sobie pani sprawę, że pani mąż miał ogromne wpływy. Większość ludzi bała się jego bezwzględności tak bardzo, że potrafiła jedynie poddawać się jego woli. Należał do nich także pani ojciec.

Lydia nie była jeszcze gotowa na to, by żałować ojca. Poczula, że usztywnienie gorsetu wpija jej się w talię, więc się wyprostowała.

- Wspomniał, że postanowienia zapisane w jego testamencie są skomplikowane. Czy mógłby mi pan naświetlić tę sprawę?

W tym momencie z holu dobiegł dźwięk czyichś kroków. Nikt nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapukać, więc Lydia domyśliła się, że musi to być jedno z dzieci Floyda.

- Wygląda na to, że mamy towarzystwo - powiedziała Lydia na tyle głośno, żeby zwrócić uwagę tego, kto wszedł.

Marston zajrzał do pokoju, zdejmując kapelusz.

- Robinson? Co pana tu sprowadza? - zapytał, kompletnie ignorując Lydię.

Ta przyglądała się w milczeniu, jak jej pasierb przeszedł przez pokój i uściśnął dłoń starszego mężczyzny. Robinson wstał, wyraźnie skrępowany nagłym pojawieniem się Marstona.

- Miałem sprawy do załatwienia z panią Gray.

- Naprawdę? - Marston spojrział na Lydię z niedowierzaniem. - A co skłoniło moją macochę do tego, by pana wezwać?

Robinson odchrząknął dość nerwowo i skoncentrował się na podłodze. Lydia była bardzo niezadowolona, że zdecydował się na taką postawę. Jej pasierb uwielbiał onieśmielać i zastraszać ludzi. Karmił się tym, właśnie tak jak teraz. Kiedy uśmiechnął się szyderczo do starszego mężczyzny, jego twarz przybrała niemal okrutny wyraz.

- Zapewne w... żałobie, którą przechodzi... przyda się jej porada prawna przyjaciela rodziny.

- Pan Robinson właśnie wychodził - przerwała Lydia. Podeszła do mężczyzny i wskazała ręką w stronę holu. - Proszę pozwolić, że odprowadzę pana do drzwi.

Marston nie zamierzał do tego dopuścić.

- Po prostu się o ciebie troszczę, Lydio. Czy masz jakieś pytania dotyczące swojej przeszłości?

Lydia spojrzała w jego bladoniebieskie oczy.

- Gdybym je miała, na pewno nie zadałabym ich właśnie tobie.

Zobaczyła, jak gniew przepływa przez ciało młodego Graya. Jeżeli list jej ojca mówił prawdę – a nie miała powodów, by sądzić inaczej – miała się wkrótce uwolnić od tego człowieka i jego rodzeństwa. Nie musiała się go dłużej bać.

Nie cofając się, Lydia wyprostowała ramiona.

– A teraz, jeśli pozwolisz, pan Robinson musi ruszać na kolejne ważne spotkania, a mnie boli głowa i zamierzam się położyć.

Marston nic więcej nie powiedział. Ku zaskoczeniu Lydii cofnął się i pozwolił im przejść. Czowała, jak prawnik lekko drży pod jej dotykiem. Było jej go żal, bo wiedziała, że to spotkanie wytrąciło go z równowagi.

– Ach, jeszcze jedno – powiedział Robinson, kiedy dotarli do wyjścia. Kamerdyner przyniósł mu kapelusz, a następnie odwrócił się i otworzył drzwi.

Lydia spojrzała na kamerdynera i czekała, aż wreszcie się oddali. Służba zawsze próbowała podsłuchiwać wszystkie rozmowy. Widząc, że jego usługi nie będą już potrzebne, mężczyzna sztywno się uklonił i zostawił ich samych.

– Mówił pan, że jest coś jeszcze?

– Chciałbym pani towarzyszyć podczas odczytania testamentu w poniedziałek. Jako prawnik pani ojca poczyniłem pewne ustalenia z adwokatem pana Graya. Obaj musimy być obecni podczas tego spotkania, w związku z komplikacjami, o których pisał pani ojciec.

– Rozumiem. – Lydia zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Marston się jej przygląda. Uniosła podbródek i odezwała się na tyle głośno, żeby pasierb ją usłyszał. – Bardzo się cieszę, że będzie mi pan towarzyszył. O której mam się pana spodziewać?

– Przyjadę po panią o dziewiątej trzydzieści. Odczytanie testamentu zaplanowane jest na dziesiątą.

Lydia kiwnęła głową.

- Doskonale. Będę na pana czekała.

Kiedy tylko Robinson wyszedł, Lydia pospiesznie udała się na górę, zanim Marston zdołał ją zatrzymać. Biegła niemal do azylu swojej sypialni i szybko zamknęła za sobą drzwi na klucz. Dopiero wtedy zdecydowała się po raz kolejny spojrzeć na list ojca.

Jeżeli zostawił jej wystarczającą sumę, doskonale wiedziała, co chciałaby zrobić. Jej jedyna żyjąca krewna, ciotka Zerelda, mieszkała na dalekiej Alasce, w małym, położonym na wyspie miasteczku Sitka. Lydia od dawna marzyła o tym, żeby do niej pojechać.

„Być może wreszcie zdołam to zrobić”. W końcu rozwiązałyby to wszystkie jej problemy. Przeniesienie się w tak dalekie miejsce sprawi, że już na dobre znajdzie się poza zasięgiem mściwych pasierbów i zacznie wszystko od nowa.

Podeszła do sekretarzyka i wyjęła pióro oraz kartkę. Mnie dużo czasu, zanim list dotrze do ciotki. Najlepiej wysłać go już teraz i poinformować Zereldę, co się stało. Przecież ona nic jeszcze nie wiedziała o śmierci Floyda.

Po raz pierwszy od lat Lydia poczuła iskrę nadziei. Zerknęła na drugą stronę pokoju, gdzie czekały na nią skrzypce. Natychmiast porzuciła list i podeszła do instrumentu, po czym z miłością wzięła go do rąk. Sprawdziła struny i nastroiła go, a następnie sięgnęła po smyczek i wydobyła dźwięk.

Powietrze wypełniła muzyka, która do pewnego stopnia ukołoiła wzburzone serce Lydie. Przez całe życie nie zaznała większej pociechy niż dźwięk swoich skrzypiec. Przez chwilę zatraciła się w zapadającej w pamięć melodii Mszy h-moll Bacha.

Kiedyś chciała, żeby ten utwór grano na jej pogrzebie. Teraz jednak śmierć wydawała jej się taka odległa. Przecież świat stał przed nią otworem.

Rozdział 2



Lydię posadzono pomiędzy bliźniakami, Mitchellem i Marstonem, co wiązało się dla niej z dużym dyskomfortem. Także oni wydawali się niezadowoleni, że ich matucha miała asystować podczas odczytania testamentu i że została o to poproszona zarówno przez prawnika jej ojca, pana Robinsona, jak i przez reprezentującego interesy rodziny Grayów mecenasa Nasha Sterlinga. Prawdę mówiąc, sama Lydia również nie wykazywała entuzjazmu na myśl o upokorzeniu, które ją czekało: stanęła bowiem przed koniecznością wysłuchania ostatniej woli swego zmarłego męża.

„Dobrze, że ojciec pomyślał przynajmniej o mojej przyszłości. Mimo całego zła, które mi wyrządził, zmuszając mnie do małżeństwa, wziął pod uwagę moją sytuację i odpowiednio mnie zabezpieczył”. Lydia tak mocno zacisnęła okryte rękawiczkami dłonie, że natychmiast zaczęły ją boleć. Nie mogła jednak rozluźnić uścisku, bo gdyby to zrobiła, cała rodzina zauważyłaby, jak bardzo się trzęsie.

Pan Sterling wstał.

- Zebraliśmy się tu dziś, żeby odczytać testamenty pana Zachary'ego Rockforda, ojca Lydii Rockford-Gray, a także pana Floyda Graya, męża tejże Lydii Rockford-Gray i ojca Mitchella Graya, Marstona Graya, Jeannette Gray-Stone i Genevieve Gray-Gadston.

Rozejrzał się, jakby właśnie skończył apel, po czym skinął na pana Robinsona.

Lydia wzięła głęboki oddech, a prawnik jej ojca zaczął czytać ostatnią wolę Zachary'ego Rockforda. Wiedziała, że Marstonowi i Mitchellowi nie spodoba się, iż ojciec zostawił jej fundusz powierniczy. Dotąd bracia triumfowali, że ich macocha zostanie bez środków do życia – ta informacja na pewno przyćmi ich radość.

– Zgodnie z umową podpisaną 10 marca 1859 roku, w chwili ślubu mojej córki Lydii Rockford z Floydem Grayem, pozostawiam wszystkie swoje dobra doczesne Floydowi Grayowi.

Mitchell i Marston spojrzeli z zadowoleniem na Lydię, ale zignorowała zarówno ich reakcję, jak i słowa Robinsona. Wiedziała o zapisach zawartych w tym kontrakcie. Jej małżeństwo było wyłącznie umową handlową na zakup szesnastoletniej panny młodej przez starszego mężczyznę, którego pierwsza żona popełniła samobójstwo.

– Znajduje się tu jednak jeszcze jeden punkt – mówił dalej pan Robinson. – W wypadku, gdyby Floyd Gray zmarł przede mną, wszystkie moje dobra, w tym obligacje, dochody z firm i cały majątek przejdą na moje jedyne żyjące dziecko, czyli na moją córkę Lydię Rockford-Gray.

Lydia nie mogła zrozumieć, dlaczego ten punkt niespodziewanie się tu pojawił. Zaskoczył ją, ale to nie miało znaczenia, bo przecież jej ojciec i Floyd zginęli wskutek tego samego wypadku.

Robinson sięgnął po plik papierów.

– Mam tu podpisane i złożone pod przysięgą w obecności mojej i pana Sterlinga oraz sędziego Brewstera zeznania trzech lekarzy, które potwierdzają, jak zresztą wszyscy państwo wiecie, że Floyd Gray zmarł natychmiast w chwili wypadku, 2 kwietnia 1870 roku – prawnik zamilkł na chwi-

lę i zsunął okulary na czubek nosa. – Zakładam, że synowie pana Graya zidentyfikowali ciało ojca 2 kwietnia. Zgadza się?

Mitchell wstał.

– Owszem, ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– Proszę usiąść, panie Gray – zwrócił się do niego Robinson. Pan Sterling wydawał się nieco zmieszany i nie patrzył w oczy Mitchellowi. Właśnie ten drobny, ale istotny szczegół zwrócił uwagę Lydii. Najwyraźniej coś było nie tak.